

Józef STASZYC



IX

11 IX 1939 r.
Poniedziałek

Wojenny wrzesień pogodowo przypomina sierpień. Noce często już chłodnawe, ale dnie nadal ciepłe i słoneczne, z bezchmurnym, pięknym niebem, po którym bezkarnie i dzisiaj w jedenastym dniu wojny, krążyły nieprzejrzyste samoloty. Niestety, alarm nie uprzedził ich nalotu. Niszczyl więc urządzenia komunikacyjne i inne obiekty, a dymy z nowych pożarów wznosiły się w górę, przy bezwietrznej pogodzie.

Wśród ludności widać było mniejszą dyscyplinę, gdyż bała się ona skutków nalotów bardziej niż poprzednio. Przykre doświadczenia szczególnie ucza. Brak Państwowej Policji i Zawodowej Straży Pożarnej zastępuje Straż (Milicja) Obywatelska i Ochotnicza Straż Pożarna. Spowodowało to obniżenie sprawności gaszenia licznych pożarów, arogancję „metów społecznych”, wzrost kradzieży mienia. Szołenne zaciemnianie okien nie ma już takiego znaczenia jak na początku wojny, ponieważ palące się obiekty ułatwiają nocne bombardowania, jak i nawigację lotniczą od zmroku do świtu.

Niektóre nasze patrole nadal jednak zwracają uwagę „na szczerłość zaciemniania”. Wywołuje to rozdrażnienie i niepotrzebne scysje i awantury, w sensownych w sumie wypowiedziach: „Lepiej gasilibyście ogień i łapali złodziei!”.

Nastąpiło dalsze pogorszenie zaopatrzenia w żywność. Nas też żywią wyraźnie gorzej. Dokupujemy trochę pieczywa, niestety, piekarnia „Turecka” przy ulicy Świętoduskiej jest często zamknięta lub nie dysponuje odpowiednimi wypiekami. Szkoda, bo tutaj tyle lat przed wojną, można było zaspokoić nie tylko głodne, ale i wybredne „kubki smakowe, każdej jamy ustnej”, nawet wyjątkowego smakosza.

Duża liczba pogorzalców i bezdomnych oraz w dalszym ciągu napływających uciekinierów, to narastający problem, z którym władze miasta nie umieją sobie poradzić. Przez radio często ponawiają odezwę Michała Grazyńskiego, naczelnika Związku Harcerstwa Polskiego, a teraz i ministra propagandy, wzywającą ludność cywilną, by nie opuszczała miejsca zamieszkania, ponieważ jest ona łatwym i bezbronnym celem barbarzyńskich ataków lotnictwa niemieckiego, a jednocześnie, masy ludzi przemierzające się po szosach i drogach nawet polskich, utrudniają ruchy wojsk własnych. Miejsce stałego zamieszkania niech opuszczają tylko poborowi i rezerwiści.

W Lublinie zarządzono, a następnie wstrzymano ewakuację przedów, przy jednoczesnej decyzji gen. Smorawińskiego przywrócenia miasta do obrony. To nie możemy w pełni zrozumieć, ale świadczymy to może jakaś koordynacja decyzji i

planów, na wyższych szczeblach władz, tak wojskowej jak i cywilnej.

Jak wynika z oględnych komunikatów radiowych, armie niemieckie działają już na dalszych naszych terenach i przeszły na prawy brzeg Bugu. Bitwa nad Bzurą jeszcze trwa, ale efekt jej nie jest nam w pełni znany, choć wiadomo, że Niemcy rzucili tutaj nowe jednostki z 10 armii. O naszych rezerwach, które weszły do tych zmagani, nie słyszemy.

Słoneczne, piękne popołudnie. Idziemy w służbowym patrolu, między innymi ulicami Niecała, Staszica, Radziwiłłowska, Krakowskim Przedmieściem. Mijamy szpital „Szarytek”, w którym urodziłem się, w pamiętną bitwę w sierpniu 1920 roku. Widzimy powybijane szyby w oknach Giełdy Zbożowej, tak zawsze schludnej, a mieszczącej się obok szpitala skórno-wenerycznego pod wezwaniem św. Józefa, w którym pracował nasz znajomy, dr Rachalewski. Oto, rozbite i spalone kino „Corso” pana Schreitera, z jego wspaniałym holem, zaopatrzonym w różnego rodzaju automaty do gry, na „zręczność i inteligencję”. Do kina tego otrzymywaliśmy w pewnej kolejności od Rysia Schreitera „passe — partout”, kartę wolnego wstępu dla dwóch osób. Rysio, syn właściciela uczęcał naszego liceum, charakteryzował się dużą inteligencją, delikatnością, życzliwością oraz uzdolnieniami muzycznymi. Grał pięknie na fortepianie, uświetniając różne uroczystości szkolne. Był wysoko ceniony przez „panów” od śpiewu, profesorów Bobbka i Ostrowskiego, którzy rokowali Rysiovi dużą karierę artystyczną. Zburzone jest też kino „Stylowy” przy Krakowskim Przedmieściu. Tutaj, na wypalonym murze budynku wisiały strzępy afiszy, anonansujące film „As wywiadu”, o szpiegostwie niemieckim. Lubelskie kina, te ekskluzywne i drogie i te, jak Rialto, Venus i Uciecha — Gwiazda, w których grano filmy, szczególnie chętnie oglądane przez „mniej rozgarniętą młodzież”, oczywiście mam na myśli wiek, a nieraz i potrzeby intelektualne.

Zdewastowane cukiernie Sernadeniego, Rutkowskiego i inne, oraz zamknięte „na głucho” sklepy Baczyńskiego i Zurka, w których zaopatrywali się codziennie ludzie zamożni i sędziastwo, a i „wszyscy”, gdy chcieli kupić „bakalie i wina” na szczególne uroczystości świąteczne i rodzinne.

Na ulicy Radziwiłłowskiej spotkaliśmy patrol Straży Milicji Obywatelskiej, w której był

mój kolega Elizeusz Ostojadło, brat Kajetana, mojego pierwszego zastępcę, gdy byłam jeszcze uczniem w harcerstwie. Kajetani, starzy wielkimi i stopniem, czuwał, byśmy wygodnie i bezpiecznie spali, a w czasie deszczu sprawdzał, czy nie przeciekają nad nami namioty. Uczył nas własnym przykładem odpowiedzialności za innych. To był autentyczny wychowawca, jemu można było zawsze powierzyć swoje dzieci. Nigdy nie zawiodł. Rodzice druha Kajetana byli tkaczami, prowadzili przy ulicy Zamajskiej tkalnię, w której pracowali razem z synami. Była to rodzina wielodzietna, dwóch z synów znamem z harcerstwa, pozostali, dużo starsi, też byli przyzwyczajeni do pracy.

Mamusia moja, podobnie jak i inne kobiety bardzo przeżyła ostatnie naloty, a lęk o nadchodzące jutro, pogłębiał się nieustannie. Na decyzję matki, o opuszczenia Lublina, nalegaliśmy długo wspólnie z ojcem.

Byłem po służbie, poprosiłem więc o przepustkę na noc z dnia 11 na 12 IX 39 r. Poszedłem do kuzynki Adeli Bojanowskiej, najstarszej siostry i wielkimi akuszerki w tym czasie w Lublinie. Była zabrała ją z nami, ponieważ była samotna. Nie wyraziła zgody i stwierdziła, że nie ma zwyczaju opuszczania ludzi, przy których urodzeniu była, gdy oni są w niebezpieczeństwie, podobnie jak i jej rodzinne miasto. Wspaniała kobieta, również i u schyłku swojego pracowitego życia, silaczka.

Wstąpiłem również do wujenki Kazimierzy Krzyżanowskiej, też akuszerki, zamieszkałej przy ulicy Bychawskiej, by dowiedzieć się czy ma wiadomości od syna Stanisława, podchorążego służby czynnej i o zięciu Tomaszu Perczyńskim, poruczniku rezerwy kawalerzysty. Był on na froncie. Niestety, w drzwiach była kartka z napisem: „Jestem w porodu, wróć jak urodzi się dziecko”.

Opuszczamy Lublin nocą, w kierunku Głuska, skąd kierujemy się do wsi Wilczopole. W drodze do Głuska stajemy często, bo ludzie są podnieceni i niespokojni. Pod „prąd” naszej uciekającej fali, przepychają się grupki cywilów a nawet jakiś z poznańską rejestracją samochodów, zaprzęgnięty „w konia”. Mają oni nadzieję kupić benzynę w Lublinie. Bolesny był widok zmęczonych twarzy pasażerów tego pojazdu. Nie miałem odwagi powiedzieć im, że już w Lublinie też nie ma benzyny. Nie chciałem zabijać ich nadziei.

W Wilczopolu, w jednym domu przez otwarte drzwi, przebiegał słaby blask światła. Weszliśmy przez ganek do izby, w której na ścianie paliła się lampa naftowa, mocno przykrecona. Pozdrowiliśmy gospodarzy staropolskim pozdrowieniem, odpowiedzieli: „Na wieki wieków”. Przedstawiliśmy prośbę. Gospodarze odstawili mamie pokój. O pieniądzach nie chcieli słyszeć, wyjaśniając, że to nie wakacje ani urlop, a ucieczka i nie szczęście, z których nie będą czerpać zysków. W tym domu, po raz któryś w życiu stwierdziłem, że nie ma nic wspanialszego w ustach zmęczonego i nieco głodnego, jak wiejski świeży chleb razowy, własnego wypieku i zimne, pełne mleko. Rodzice i gospodarze przypadli sobie „do gustu”.

Gdy wczesnym świtem wyhodziłem, pani gospodyni zaopatrzyła mnie w „pajdy chleba” z mąstern i serem oraz miodem, podkreślając, gdy chciałem zapłacić, że to i dla kolegów, bo może „ktoś teraz karmi mojego syna”, żołnierza służby czynnej powołanego przed wybuchem wojny do wojska.

(Cda.)